

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

# ŁOWIEC

ORGAN GALIC. TOWARZ. ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

## Odezwa.

Wydział Gal. Towarzystwa łowieckiego, obradując na posiedzeniu 16. września b. r., nad wnioskiem Dra Sandera, zmierzającym do zmiany dotychczasowego statutu tegoż Towarzystwa, postanowił zwrócić się ponownie do P. T. Członków, z gorącym apelem, aby sprawę tę, tak niezmiernie wielkiej wagi, raczyli gruntownie zbadać i w łamach „Łowca" dać wyraz swym zapatrywaniom.

Ze względu, że w myśl uchwał XIV. Zjazdu łowieckiego, ma Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego w najkrótszym czasie zwołać nadzwyczajne Walne Zgromadzenie, celem przedłożenia mu konkretnych wniosków w tej sprawie, uprasza więc najusilniej o możliwy pośpiech w przedłożeniu mu dotyczących opinji.

Pomieniony projekt nowego Statutu, zamieścił „Łowiec" w numerze 12 z b. r.

Z wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego.

Prezes: *St. Stadnicki.* Wiceprezes: *Sew. Krogulski.*

## Uwagi o ustawie łowieckiej.

Każda ustawa ma swoje dobre i złe strony, a zazwyczaj więcej dobrych, aniżeli złych. W naszej jednak nowej ustawie łowieckiej trudno się tych dodatnich stron dopatrzeć. Że ustawa ta dąży do wyniszczenia zwierzyny łownej i doprowadzi myśliwstwo do upadku, o tem nie ma dwu zdań. Rozporządzenia dodatkowe, jako dodatek do ustawy,

to kawałeczek cukru po bardzo gorżkiem lekarstwie. Ta odrobina słodyczy nie zneutralizuje gorżkiego smaku, — zdolna raczej sprawić nudności. Kto ustawę tę dokładnie przestudjował i w życiu praktycznem z nią się spotkał, nabierze w krótkim czasie przekonania, że to chyba tylko szkic dzieła, który jako taki nikomu pożytku przynieść nie może. Trudno pojąć, jak można układać ustawy broniące praw drobnych właścicieli, a równocześnie powodujące ich krzywdą moralną, zarazem zaś krzywdzące i właściciela większych obszarów ziemi, tak, jakby ten większy właściciel był wyjętym z pod prawa pasożytem, nie płacił na równi z chłopami podatków i nie ponosił takich samych ciężarów. Cieszcie się i radujcie panowie ludowcy! Daliście ludowi ustawę, daliście mu nowe wybory wydziałów spółek łowieckich, daliście złodziejom leśnym i kłusownikom możność uprawiania, niejako pod ochroną prawa, ich niecnego rzemiosła. Ciesz się i raduj kmiotku nasz! Dotąd traciłeś czas na wybory pośrednie i bezpośrednie, teraz możesz jeszcze wybierać wydział spółki, a może i sam w nim zasiędziesz. Dawniej za prawo polowania na twym zagonie brałeś grosz nieraz dostatni, płaciłeś nim należytości szkolne, parafialne, gminne i t. p. — dziś wyjmij grosz z kaletki i daj, ale za to możesz warcholić przy wyborach wydziału, ile dusza zapragnie, możesz krzyczeć „kryuda" aż do ochrypnięcia, a że przy tem i Szlomko w karczmie zarobi, to trudno — i on żyć potrzebuje. Ciesz się narodzie, — masz ustawę, — jesteś zbawion! Masz spory kawał chleba w ręce, już z głodu nie będziesz puchł, chyba przy wyborach wydziału przypadkiem guza oberwiesz, — no, ale to nic, — za to masz honory — masz prawo!

Do smutnych i bardzo niewesołych refleksji się dochodzi, patrząc na ten padół ziemski...

Przechodząc paragraf po paragrafie ustawy, niemal przy każdym z nich należałoby postawić znak zapytania. Pozostawiam je jednak pp. prawnikom i światłym myśliwym do oceny, zajmę się tylko nie co działem o wynagradzaniu szkód zrządzonych przez zwierzynę.

Nie moją rzeczą oceniać, czy samo wynagradzanie szkód jest rzeczą moralną, czy nie. Chodzi mi tylko o jasność postanowień i ich sprawiedliwość.

Radbym bardzo wiedzieć, dlaczego właściciel samoistnego okręgu łowieckiego ma odpowiadać za szkody, zrządzone w odległości 500 m od granicy lasu, jeżeli na sąsiedniem terytorjum gminnem polowanie wykonują ustanowieni myśliwi? W tutejszej okolicy zachodzi wypadek, gdzie gmina posiada grunta pomiędzy lasami, ciągnące się długim pasem mało co od 1000 m szerszym, a w większej części nawet od 500 m węższym. Polowanie gminne nikomu nie będzie wydzierżawione wskutek warcholstwa niektórych jednostek, polować będą przeto ustanowieni myśliwi. Zwierzyna z lasu wychodzi na pola i wyrządzą faktycznie mniejsze lub większe szkody. Dlaczegóż jednak ma je wynagradzać właściciel lasu, gdy na polach tych nawet za słonym czynszem polować mu nie wolno? Zając zjadł kapustę, ustanowiony myśliwy go zastrzelił i sprzedał na korzyść gminy, właściciel zaś sąsiedniego lasu musi zapłacić wartość kapusty. Czy to logiczne?

Co do samego wynagradzania szkód, jakiż to twardy orzech ma do zgryzienia ten, który z naszym poczciwym kmiotkiem pragnie ugodowo rzecz załatwić. Samo ocenienie szkody nie jest tak rzeczą łatwą, jakby na pozór się zdawało. Szacowanie szkody np. gradowej, nie przedstawia mojem zdaniem najmniejszych trudności, czego o szkodach wyrządzonych przez zwierzynę powiedzieć nie można.

Nie mam na myśli szkód większych, np. zniszczenie drągowin jodłowych przez jelenie, zniszczenie zupełne plonów rolnych przez dziki i t. p. Chodzi tu o te drobne szkody, których wykorzystywanie zaczyna być już sportem u naszych kmiotków. Dzik przeszedł przez zagon, tu i tam osmykał kitę prosa, ówdzie przewrócił suchą nać kartofli, tam zjadł kilka kartofli, — konia z rzędem temu, kto takie szkody należycie oszacuje i dojdzie do porozumienia z chłopem. Chłop żąda koron 10, szkoda faktycznie wynosi jedną koronę, chłop się na nią nie godzi i sprowadza sąd rozjemczy. Moje wywody nie zgadzają się z sądem sędziego rozjemczego, płacę więc np. 2 korony odszkodowania i 8—10 koron kosztów. Jeżeli zaś sąd rozjemczy przyzna mi słuszność, mogę być także przymuszony do zapłacenia części kosztów według §. 72. Dlaczego? A któż mi wynagrodzi czas stracony przy niedoszłej do skutku poprzedniej ugodzie, a następnie przy sądzie rozjemczym pomimo, że ofiarowałem w czasie właściwym, bez sądu, dostateczne wynagrodzenie? Nie chcąc dać się wyzyskać chłopu, narażam się tak czy owak na poniesienie kosztów sądu rozjemczego. Czy to ma być sprawiedliwe? Jeszcze byłoby pół biedy, gdy przewodniczącym sądu jest człowiek na plonach rolnych rzeczywiście się rozumiejący. Któż mi jednak zaręczy, że np. aptekarz lub urzędnik, nie umiejący odróżnić zielonej pszenicy od żyta, potrafi należycie wyrok swój wydać?

Obdarzył nas rząd ustawą, powinien był pomyśleć także i o tem, by dostarczyć nam dostatecznej liczby ludzi odpowiednio na ocenicieli szkód wykształconych. Na razie szuka się zawodowych znawców z pomiędzy ludzi dobrej woli, którzyby z poczucia obywatelskiego przyjęli godność sędziego. Nie każdy jednak zawodowy rolnik lub leśnik może czas swój na to poświęcić, choćby miał najlepsze ku temu chęci. W braku więc takich, mianuje się ludzi z rolnictwem lub leśnictwem nic wspólnego nie mających. Taki sąd rozjemczy nie może być należyty. Sądzę, że jeden urzędnik z odpowiedniem wykształceniem, dodany Starostwu, lub co lepiej sądom powiatowym, sprostałby w zupełności zadaniu ku całkowitemu zadowoleniu stron interesowanych. Płacimy tyle podatków z dodatkami na koszta biurokracji, że i ten jeden urzędnik w powiecie nie zaważy na szali.

Na orzeczeniu sumiennego znawcy-człowieka niezawisłego — nieskrępowanego niczem, tylko przysięgą — polegałby i właściciel czy dzierżawca polowania, oraz właściciel gruntu. Nie wyradzałaby się dalsza nienawiść między włościaninem a dworem, do której nowa ustawa tyle daje okazji. Ustawa choćby najostrzejsza, powinna mieć moralny cel na oku, a tembardziej ustawa łowiecka, broniąca w zasadzie interesów drobnych rolników, a równocześnie nastręczająca im sposobność do niemoralnego sprawiania przykrości i złośliwych psot większym właścicielom.

W ten sposób nie zacieśni się węzłów, mających łączyć dwór z wieśniakiem, lecz jeszcze bardziej się je rozluźni, co ani obydwom stronom, ani państwu pożytku nie przyniesie.

*Jan Szałajdewicz*
delegat pow. żydaczowskiego.

J. C. W. ARCYKSIĄŻĘ JÓZEF.

# DAREMNY TRUD.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie doleciał mnie jego ryk, ale z daleka, gdzieś od *Nesztasovy*. Pospieszyłem za głosem i zrównałem się z nim niebawem. Szliśmy równolegle, — on dołem, ja górą. Minęła godzina, a my ścigaliśmy się bez przerwy, on na dole — ja na górze... Koncert rozpoczął się znowu na dobre. Zszedłem stokiem pomiędzy *Nesztasova i Razgyel* i zdążałem naprzeciw niego. Znowu natknąłem na dwie łanie, a za niemi ujrzałem jeden pień kapitalnego byka. Pień drugi i całe ciało zasłonił mi buk. Przez szkła naliczyłem ośm gałązek, możliwe jednakże, iż było więcej. Ba! Ten wieniec jest silniejszy i piękniejszy niż mogłem przypuścić... poprostu posiada wymiary nieprawdopodobne. Rycząc, postąpił byk krok jeden naprzód i teraz ujrzałem taki cud, że począłem drżeć ze wzruszenia! Strzelać nie śmiałem, bo łopatkę zasłaniały gęste liście, a jemu mogłem wysłać tylko absolutnie pewną kulę! Nadto jestem zdenerwowany — więc lepiej zaczekać.

Z ogromnym rykiem zbliżył się zwolna drugi, słabszy byk, do nienawistnego rywala. Ten jednaże odwrócił się i z groźnem wezwaniem do walki ruszył ku niemu. Rozległ się piekielny łoskot w gęstwinie, jakby setki wozów ciężarowych jechało przez zarośla i krzaki. Gdy powrócił — zobaczyłem jego wieniec czternastaka w całej okazałości. Poprostu coś ze zjawiska!

Swojego przeciwnika prześladował aż do *Blaskovrostyek*, — niestety szły z nim także łanie. Nie widząc w tem nic dobrego, chciałem biegiem dotrzeć do mojego dawnego stanowiska i po pięciu kwadransach, zziajany i zdyszany stanąłem istotnie na miejscu. Już zapóźno! Przeszedł już to miejsce i ciągnie teraz przez *Papai Vrch* do *Dlha Ubocs!* Ryk dolatuje mnie teraz ze znacznej odległości. Podszedłem jeszcze trochę w górę, ale las był już całkiem głuchy. Nic dziwnego; — jelenie ryczały i tak bardzo długo — jest już pół do jedenastej.

Zmęczony i zły zacząłem schodzić na dół. Dlaczego nie strzelałem? Nie był odemnie dalej jak na 80 kroków i prawdopodobnie byłbym go dosięgnął. A jednak... lepiej się stało, iż nie strzelałem! Któż wie, czy kula nieześlizgnęłaby się po gałązkach, kalecząc go tylko, do czego przecież nie wolno mi było dopuścić! Podobnego wieńca może już w życiu nie ujrzę, więc wolno mi strzelać tylko całkiem na pewne.

Tonąc w tych i w tym podobnych refleksjach, zszedłem w kotlinę pomiędzy *Razgyel i Dlha Ubocs*. Tutaj, przekonałem się ku mojemu niemałemu zdziwieniu, że jelenie ryczą dalej, że może i on jest! Jestem niedalej niż dwa kilometry od miejsca, gdzie go ostatni raz słyszałem.

Przekradając się ostrożnie od drzewa do drzewa, dotarłem w końcu do jeleni, ryczących zapamiętale w prastarej dąbrowie, a niebawem dojrzałem osiem łań. Dzieliło mnie od nich jakich 80 kroków, a że wiatr miałem dobry, więc z bronią gotową do strzału, czekam na zjawienie się byka.

Jakoż za chwilę wyszedł z gęstwiny. Nie był to on jednakże, lecz jego rywal. Przez szkła rozpoznaję doskonale wieniec osiemnastaka, który wprawdzie nie dorównuje tamtemu, ale jest wyższy i również godzien strzału. Spróbuję!... Biorę więc dobrze na cel i mierzę spokojnie, lecz w tej samej chwili gdy dociskałem cyngla, oznajmił się on! Przepadło; — tej samej chwili huknął mój strzał! Oglądam się i widzę go na 30 kroków przed sobą... Chcę się złożyć, lecz w tej chwili mięsza się z łaniami i razem z niemi odchodzi. W niedługi czas potem słyszę głos jego i rywala po drugiej stronie góry.

Przyszedłszy na miejsce, w którym stał osiemnastak, stwierdzam, że zdołowałem. Trafiłem w ziemię...

Nie tracąc czasu na rozmyślania, ruszyłem pospiesznie, chcąc dojść poza górę, lecz, skoro się tam znalazłem, jelenie ryczały już na *Szucsiroch*, a gdy i tam dotarłem na pół do dwunastej, było już cicho — jak mak siał.

Czyż mogłem mieć inną pociechę ponadto, że dziś wieczór, lub jutro rano — „stanie się“?

Wieczorem ryczał w niedostępnej gęstwinie koło *Kalinov'y;* podszedłem go na 20 kroków, tak dalece, że doskonale słyszałem jego oddech, — oprócz jednakże wszystkich czterech badyli, nie mogłem dojrzeć nic więcej.

O świcie, następnego dnia, był znowu w tym samym miejscu i nie wychodził stamtąd uparcie, choć słońce stanęło wysoko na niebie. Wiedząc, że w tych warunkach nie dam mu rady, postanowiłem skorzystać z wiatru i odciąć mu przesmyk. Począłem iść z możliwą ostrożnością, aby go nie spłoszyć przypadkowem nadeptaniem suchej gałęzi, nadsłuchując co krok, czy sprawy nie popsułem. Dziś oznajmiał sią bardzo źle, co pół godziny słychać słaby tylko pomruk. Jego rywale, z wyjątkiem osiemnastaka, który ryczał zawzięcie, pomilkli. Okoliczność ta była ogromnie niemiła, wobec tego, że nie mogłem go podejść, nie wiedząc gdzie jest; na dobitkę ruszyłem wczoraj widzianego czternastaka, który zoczywszy mnie zatrzymał się i począł wpatrywać się we mnie. Bojąc się, aby uciekając nie spłoszył także jego, postanowiłem sam go spłoszyć, rozumując, że w takim wypadku pomknie w kierunku wręcz przeciwnym.

Myśl nie czekała długo na czyn. Skoczyłem kilka kroków naprzód, w następstwie czego jeleń, strasząc parokrotnie, rzucił się do ucieczki, na szczęście nie w kierunku starego. Czekałem jeszcze z kwadrans, zanim odezwał się krótkim i cichym „E..., e..., e...“. W kierunku skąd głos mnie dochodził, nie mogłem iść, mając przed sobą nieprzebyty gąszcz. Usiadłem przeto na miejscu i czekałem. Dwie łanie przeszły tuż obok mnie, objadając łakomie liście. Może teraz? Trzeba wszystko zdać na los szczęścia. Znowu przeszło siedm łań, — aż wreszcie nadszedł i on, podchodząc ostrożnie i powoli ku łaniom, przeciskając nadzwyczaj zgrabnie swój potężny wieniec pomiędzy drzewami, o które go zaledwie ocierał. Mam go przed sobą na 15 kroków. Wznosi głowę i chce ryczeć — lecz nie śmie. Mierzę spokojnie i uważnie — lecz nie mogę nacisnąć cyngla, jakkolwiek nie jestem zgorączkowany... Może to nie on? Przecież nie zbliżałby się do łań tak ostrożnie i niepewnie, nie bałby się ryczeć... Obraca głowę ku mnie, widzę wieniec i sześć końców korony... Ech! do kroćs...! To ten osiemnastak, którego wcale nie chcę!

„E... e... e... a... u... u... a...!“ oznajmił się za górą *Papai Vrch*. Daj ci Boże jak najlepiej! Tutaj zabawił się wcale dobrze, zostawił łanie słabszym rywalom i poszedł na zasłużony spoczynek.

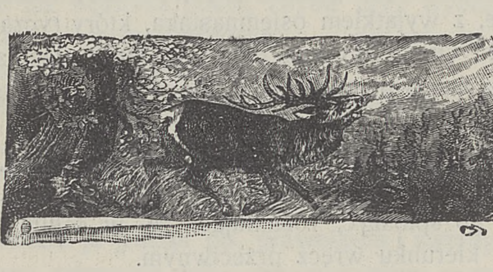
Często już przekonywałem się o niewierności jeleni. Każdego dnia szukają łani, ażeby jeszcze prędzej ją porzucić. Tak było i tu. Jeleń znikł bez śladu i długo potem nie sły-

szałem jego ryku, aż dopiero 25. spotkałem się z nim przypadkowo.

Po nieudałem podchodem na *Blaskovrostyek* schodziłem zły na dół. Zły, — bo nie widziałem wcale mojego szesnastaka; natomiast spotkałem jeszcze, oprócz osiemnastaka i łań dwa wspaniałe dziesiątaki. Widziałem je już na dole, jak zabierały się do stanowczej ze sobą rozprawy, a skoro tylko zszedłem z góry posłyszałem za sobą znaną pieśń: „A... u.. á... a... e... e... e...!“ Mimo ogromne zmęczenie, — tłukłem się już od kilku godzin, bez odpoczywania, — pospieszyłem natychmiast na górę z powrotem. Na długim grzbiecie *Kalinov'y* przechadzał się dłuższy czas, poczem umilkł. Nie mogłem się upewnić, czy poszedł w kierunku doliny *Hluboka*, czy też w góry *Razgyel*.

W każdym razie, tym razem zawiódł mnie dość daleko. Mój wózek oczekuje mnie koło *Nyitrolin*, ja zaś jestem obecnie w dolinie *Karoly*, oddalonej o kilka godzin wytężonego marszu. Ba! Poszedłbym dwa razy dalej, byle go ostatecznie dostać.

Idąc zwolna dziką i romantyczną doliną, tonąc w zachwycie nad pięknościami krajobrazu, zapominałem zwolna o zmęczeniu. Około okręca się srebrna struga potoku, gubiąc się na krańcach doliny, zaciemnionej potężnymi bukami. Bujna roślinność, skropiona perłami rosy, pomieszana z pluszem zielonych mchów, siwe kamienie skał, tworzą obraz, który musi przemówić do najmniej na piękno natury wrażliwego człowieka. C. d. n.



# Łowiectwo w Polsce.

**(Zarys historyczny).**

(Dokończenie).

„Kto uczyni przynętę na ptaki na swoim gruncie, a drugiby te przynęty gwałtownie porąbał i popsuł, albo ptaki przynęcone odegnał, albo na gotowych, cudzych przynętach połowił, tedy o to przekonany, sześć rubli-groszy, i ptaki połowione zapłacić powinien. Kto przynęty złodziejskim sposobem popsuł, dziegciem albo czosnkiem posmarował, albo czemkolwiek popsuł, przekonany o czynie, zapłaci kary trzy rubli-groszy. Tymże sposobem ktoby komu sieć cietrzewią lub kuropatwią na przynętach ukradł; ten ma zapłacić winy trzy rubli-groszy, a za kuropatwią sześć rubli-groszy. Bobrowe gony (bobrowe gony, domek czyli gniazdo bobrów) gdyby były dawne, wieczyste w inszego sąsiada dziedzinie, tedy ten pan, w czyjej dziedzinie będą gony, niema sam, ani ludziom swym dopuszczać, starego pola doorać, tak daleko, jako i od żeremia (żeremia, miejsce, w którem bobry jedno i oddzielne mają towarzystwo), mógł kijem dorzucić, także daleko i siano podkaszać niema, ani łozy trzebić. A gdyby zbyt doorał, siano podkosił, lub łozę wyciął, i tem bobry wygonił, takowy ma płacić dwanaście rubli groszy, a dooraniu i podrąbaniu łozy ma dać pokój, tak daleko, jakby mógł kijem docisnąć. A jeżeliby kto gwałtem bobry pobił, albo złodziejskim sposobem wykradł, takowy ma za gwałt stosownie do prawa zapłacić, za każdego bobra ubitego: za czarnego bobra cztery kopy groszy, a za szarego dwie kopy groszy. Gdyby bóbr wypłoszony na brzeg innego pana wyszedł, tedy ten będzie miał prawo łowienia, czyj jest grunt.

„Kto ma barci w czyjej puszczy, psów bartnicy do lasu brać nie mają, ani strzelby, czemby mogli szkody zwierzynie zrobić. Nie powinni mieć nic więcej jak tylko siekierkę etc. (Patrz Status judicialis, folio 208. Prawa powyższe wydane były w roku 1550). W roku 1776 za panowania króla Stanisława Augusta następujące prawa łowieckie wydane były. (Wyciąg ze zbioru praw sądowych w roku 1776 ustanowionych, a przez Andrzeja Zamoyskiego w roku 1778 wydanych). Od tego czasu ustała wolność polowania na cudzych gruntach, bez opowiadania się właścicielowi, który to zwyczaj trwał przez wiele wieków, jak to w ciągu niniejszego pisma pokazaliśmy. Prawa, o których mowa, brzmiały w tych słowach:

1. Znosząc niesprawiedliwy zwyczaj polowania na cudzych gruntach i kniejach, ustanawiamy: iż dotąd nikomu na cudzych gruntach i w cudzych kniejach, bez pozwolenia na piśmie przez dziedzica lub possesora dać mianego, polować lisów i borsuków wykopywać, i żadnym sposobem, ani wynalazkiem zwierza i ptastwa gubić, nie wolno będzie; przeciwnie czyniącego, będzie mógł dziedzic lub possesor do sądów grodzkich zapozwać, gdzie za najście takie gruntu cudzego, kara złotych polskich 500, na rzecz skarżącego się, i wieżą wyższą na tydzień, ukarany zostanie, a wszelkiej zwierzyny, jeżeli w tem polowaniu zyskał, szacunek w dwójnasób panu gruntu powrócić.

2. Strzelcy z rozkazu pana polujący, nie będą z swych osób karani, ale panowie w takim razie ewikować ich mają. Gdyby przecie z domysłu własnego, strzelcy w tem prawo łamali, zapłacą winy złp. 100 i więzieniem na niedziel 6 ukarani zostaną.

3. Gdyby jednak psy na cudzy grunt zagonić się miały, naówczas bez strzelania przed niemi zwierza, wolno je będzie właścicielowi łapać i odwoływać, jeżeliby przecie trafić się to miało, prędzej jak w tydzień po świętym Bartłomieju, i później jak ultimus aprilis, wtenczas właścicielowi zboża, nietylko proces wolno będzie czynić, jak w § 1 uchwalono, ale jeszcze o zdeptane, i o nagrodzenie jego szacunku, pozwać będzie miał prawo. Dlaczego powszechnie stanowimy, iż nieprędzej, jak w tydzień po ś-tym Bartłomieju zaczynać, a zaś 1-mo Martii kończyć się polowanie powinno.

4. Polować około Warszawy o mil trzy, nikomu nie wolno na polach ani w lasach rządowych, gdyż ta przestrzeń zostawiona dla zabawy Królów; prawo to bynajmniej się jednak nie tyczy dóbr prywatnych, na których każdemu właścicielowi wolno polować.

Ustanowieni królewscy strażnicy tego pilnować będą, żeby terytorjum dóbr królewskich, przeciw temu prawu nikt nie wykraczał. Ujęty przez strażników, straci broń, psy, torbę i pro proenis do sądów grodzkich warszawskich zaprowadzony być ma. Vol. leg. VIII, fol. 184.

Z tego, cośmy przytoczyli o naszych zwyczajach i ustawach myśliwskich, pokazuje się, że prawa nasze broniły własności prywatnej, oraz, że główny ich cel był zapobiec kradzieży zwierzyny; o zachowaniu zaś zwierza łownego, a tem mniej o rozmnożeniu go, ani ówczasowe rządy, ani prywatni, wyobrażenia tak u nas, jak w innych krajach nie

mieli. Jakkolwiek takie zarządzenia prawne, nic szczytnego myśliwemu dzisiejszego wieku nie przedstawiają; w innem jednak świetle się pokażą i korzystny nam obraz o charakterze przodków naszych odmalują, gdy zwrócimy uwagę na wiek, o którym mowa, oraz na ducha czasu, jakie wydaniem podobnych ustaw rządził. Gdy je zaś porównamy z prawami łowieckiemi ościennych krajów, ludów tych, które dziś na wysokim stopniu oświaty stoją, znajdziemy, że dążność i zamiary przodków naszych w niczem się nie różniły od zasad innych krajów, wielką zaś nad nimi mają wyższość w tem, że Polacy zamiar swój, inną, zupełnie odmienną, to jest: moralną drogą osiągnąć pragnęli, bo prawa ich nie tchną okrucieństwem. Wprawdzie znajdują się i u nas ustawy np. przez Zygmunta Augusta wydane, że pod karą śmierci nie wolno włościanom mieć strzelby, oraz zabijać większych zwierząt, jako to: sarn, jeleni i t. p.; zaś wilki, lisy, rosomaki i zające, dozwolono było każdemu łowić na własnych gruntach i łąkach; pomimo tego, przekonywają historyczne dowody, że prawa powyższe były bez skutku, jako nie zgadzające się z wrodzoną Polakom ludzkością, i w naszych księgach prawnych zbyt krótko trwały, tak dalece, że chwilowe ich istnienie, nietylko w niczem nie zmienia naszego wyżej przytoczonego zdania o charakterze i wyższej oświacie narodu, ale je jeszcze potwierdza.

Prawodawcy nasi przejęci byli ową sprawiedliwą zasadą: że nie srogość praw zmniejsza w kraju występki, ale ojcowskie karcenie i wskazanie zbłąkanemu drogi poprawienia się, i że w owych czasach znali prawdę dziś powszechną, że zbrodnie zwykle tam są najliczniejsze, gdzie najostrzej są karane.

Z tej wychodząc zasady, wydał lutomirski Podskarbi Nadworny Koronny już w r. 1554, dnia 18. marca, jak Czacki pisze, rozporządzenie, tyczące się kłusowników w tych słowach: „Nie chce Król Jegomość, aby wtenczas, kiedy odpokutować można karę śmierci za zabójstwo człowieka, aby wilk lub jeleń miał większą wartość, niż człowiek", a w czasie rewizji Statutu w roku 1578 pod panowaniem Stefana Batorego, karę śmierci za kradzież zwierzyny, z prawa zupełnie usunięto.

Śmiało więc powiedzieć możemy, że podobne ustawy noszące cechy barbarzyństwa, u nas prawie nie istniały, a prawodawcy nasi w owych wiekach, przewyższają w zasadach moralnych i filozoficznych owych sławnych mężów Francji, jakimi był Henryk IV i jego przyjaciel Sully, bo w ich prawach narodowych, nie były zniesione podobne nadużycia, krzywdzące ludzkość.

Prawa polskie stanowiły na wszystkie przewinienia myśliwskie, karę pieniężną. Jeśli np. kto w czyjej kniei polował, zasiewy kmiotka podeptał, oprócz kary za zwierzynę, prawem ustanowionej, wynagrodzić jeszcze musiał pokrzywdzonego. W Niemczech, Anglji i we Francji przeciwnie, za takie same przestępstwa, winny albo okrutnie męczony, albo też śmiercią był karany.

W Anglji okrucieństwa tego rodzaju biorą swój początek od Wilhelma Zdobywcy. Monarcha ten zakazał polowania we wszystkich swoich lasach, i nieludzkie postanowił kary na przekraczających wolę jego. Kto ubił jelenia, dzika lub zająca, a na uczynku był złapany, temu podług praw powyższych wykłuwano oczy; zabójstwo człowieka natomiast mogło być okupione mierną ceną.

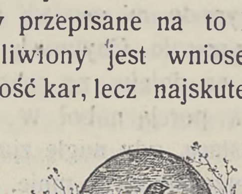
We Francji najsroższe czasy co do łowiectwa były w połowie XV wieku. Ludwik XI zakazał polowania szlachcie, pod ohydną karą szubienicy; łatwiej przebaczył zabójstwo człowieka, niż ubicie zwierza. Król ten wyłącznie dla siebie zachował łowy na drapieżne zwierzęta, a ubicie wilka i lisa, tak srogo było karane, jak jelenia i dzika. Niepodobna było królowi w całym kraju polować, a przez to niezmiernie się rozmnożyły te zwierzęta, włócząc się stadami po kraju. Chociaż po śmierci Ludwika, następca jego zmniejszył srogość ustawy łowieckiej, nie zyskał jednak lud na tem; magnaci bowiem ośmieleni przykładem króla, z równą srogością i barbarzyństwem przywrócone sobie prawa łowiectwa wykonywali. Wzdryga się natura ludzka, czytając podobne okrucieństwa, popełnione na człowieku niższego urodzenia, za ubicie nędznego zwierza, a że to istotnie miało miejsce, chociaż dziś trudno do uwierzenia, żadnej nie podpada wątpliwości. Egermont de Couci powiesić kazał trzech z drobnej szlachty, za to, że knieję jego naszli; cóżby dopiero był zrobił z biednym włościaninem, gdyby się podobnej dopuścił „zbrodni".

Biskup Auxerre jednego ze sług swoich, za sprzedanie sokoła, ukrzyżowaniem ukarał.

Niemniej srogie były prawa niemieckie, a nadewszystko saxońskie. Na kłusowników i nieprawnie polujących wymierzane były najsroższe kary: jedni byli przebijani, inni łamani kołem, ścinani, krzyżowani, wieszani i ćwiertowani. Obcinano im uszy, prawą rękę, wykłuwano oczy, piętnowano przez wypalanie rogów jelenich na czole, policzkach lub na ręce. Żyjącemu przybijano do głowy jelenie rogi, obszywano w jelenią skórę, i (jak to uczynił w r. 1537 arcybiskup Michał z Salzburga), na śmierć psami szczwano włościanina ujętego, że wypędzając jelenie ze swego zboża, jednego zabił. Najczęściej karano kłusowników w ten sposób, że ich przywiązywano do złowionego jelenia, i tak go puszczono do kniei. Jeleń przestraszony przedzierał się przez gąszcze, szarpał sterczącemi gałązkami ciało nieszczęśliwego, i bieg swój niepierwej skończył, jak z okropną śmiercią jeźdźca i własnym skonem. (Patrz Döplers Schauplatz der Leibes— und Lebensstrafen, tom II str. 475).

Podług praw saskich, ustanowionych w roku 1584. karany był kłusownik ujęty w kniei książęcej, szubienicą, zaś złapany w lesie prywatnym, dowolnie mógł być przez właściciela ukarany. Za ubicie drobnej zwierzyny w kniei, płacił obwiniony 100 złotych saskich, albo też 100 szefli owsa. Prawa bawarskie w tymże wieku ustanowione, karały kłusownika pierwszy raz w lesie ujętego, wypędzeniem z kraju z całą familją, najmniej na sześć miesięcy; jeżeli karę wysiedział i powtórnej się kradzieży zwierzyny dopuścił, ucięta mu była prawa ręka, za trzecie zaś wykroczenie ukarany był szubienicą (Stissers Ferst und Jagdhistorie, oraz Encyklopedja Knirtza: Jagdrecht).

Pomimo tak srogich praw owych wieków, liczniejsze jednak bywały w krajach niemieckich kradzieże zwierzyny, aniżeli dziś, kiedy przepisane na to kary, są łagodniejsze: a stąd usprawiedliwiony jest wniosek, że na zmniejszenie kradzieży, nie srogość kar, lecz najskuteczniej wpływa oświata.



FRANCISZEK LUBIEŃSKI.

# Wspomnienie z Herzogowiny.

Przed kilkoma laty wybrałem się z śp. Janem Zduniem na wyprawę myśliwską do Bośni i Herzogowiny. Jechałem z radością, w nadziei, że wynik będzie obfity w niedźwiedzie, wilki, kozice, rogacze, jarebice (padrwy skalne karstu), ptactwo błotne i wodne na stawnych błotach pod Mostarem i Metkovic.

Człowiek jednak strzela, a Pan Bóg kule nosi, jak mówi przysłowie, i nie po skałach, górach i przepaściach miało mnie spotkać nieszczęście, ale najprozaiczniej w świecie, spadając w łaźni w Sarajewie z najwyższej ławki na betonową podłogę, nadwyrężyłem sobie nogę dotkliwie w kostce. Co tu robić? — O wyprawie w góry ani mowy. — Wrócić do domu? — żal, bo może noga sklęśnie. Jakoś to będzie, — nasza polska, poczciwa, a taka wygodna pociecha, ratująca w niejednej potrzebie, zwyciężyła. Za namową kochanego towarzysza, zamienionego w siostrę miłosierdzia, pojechałem z nim do Mostaru. Nie zgodziłem się jednak, aby przy mnie ciągle siedział i pielęgnował, lecz namówiłem go, aby się wybrał w góry na kozice, do dzikiej Grabowicy. Wynik tych łowów: 8 kozic na pełnem stanowisku, podał swego czasu „Łowiec“, a ponieważ mnie, nieodżałowanej pamięci autor, w artykule tym wezwał, abym i ja wspomnienia swoje umieścił, choć późno — ale mieux vaut tard, que jamais, wywiązuję się z objawionego przez Niego życzenia.

Na co jednak polować z nogą spuchniętą? „Wybierz się na błota w Metkovic i na dzikie gołębie. Pojedziesz wygodnie powozem, zaniosą cię potem na łódkę, lub posadzą na krześle; nastrzelasz się i zabawisz“, mówi drogi i poczciwy towarzysz, dbający o rozrywkę dla mnie; wystarał się nawet o pozwolenie strzelania do gołębi skalnych przy źródłach Bubny od miejscowego starosty.

Zatem dobrze! Noga jeszcze boli, ale przecież wytrzymam niezbyt uciążliwą podróż. Wsiadam do powozu i jadę okolicą równą do źródeł Bubny. A krajobraz uroczy, przenoszący mnie w odległe, jakby biblijne czasy. Tu pole kukurydzy, przy niem kilka dzikich drzew daktyli, dalej pastwisko, na niem pasące się owce pod dozorem pastuszków i pastuchów we wschodnich szatach, przy studni odwracająca się zawstydzona z konwiami miejscowa Rebeka, na horyzoncie góry nagie, przypominające Palestynę, karawana koni i osiołków z ciężarami, posuwająca się gęsiego po zakurzonej drodze, ludzie w jaskrawych ubiorach, w turbanach, oświeceni purpurą i złotem od żarzącego źródła życia — słońca. Dojeżdżamy do miejsca, skąd już powóz dalej nie dotrze, bo ścieżyna wązka, kamienista i stroma. Woźnica zatrzymuje konie i mówi, że do źródła już nie daleko, jakie dwieście metrów, że wypada mi wysiąść i iść pieszo. Pieszo! Aż mnie mrowie przeszło. Chyba skakać na jednej nodze — a droga trochę za daleka na taką gimnastykę, do tego ze strzelbą i sporą porcją naboi w torbie. Myślałem już o powrocie do Mostaru, gdy nagle zjawia się z pobliskiej chaty wieśniak i przemawia do mnie. Nic nie rozumiem, pokazuję mu obandażowaną nogę i powtarzam z rozpaczą: „Bubna — gołębie“! Na to on uderza się w czoło ręką, pędzi ku chacie, po chwili powraca z młodym chłopcem, zapewne synem; ciągną wózek drewniany na dwóch kołach, t. z. „arbę“ i pokazują mi, abym zajął miejsce na drewnianej ławeczce. Siadam i zaczyna się jazda galopem po kamieniach, a ja tylko jęczę, albo krzyczę w niebogłosy. Nic nie pomaga, bieguny jeszcze szybciej pomykają. Nareszcie — tortury skończone! Okrążamy skałę i oczom moim ukazuje się mały meczet, tuż nad szumiącą, rwącą w wodospadach rzeczką, za świątynią pionowa, wysoka na jakie sto metrów skała, z pod której Bubna wypływa.

Derwisz wychodzi z domku swego i wita mnie po serbsku czy po kroacku, na co zapytuję go, czy nie rozumie po niemiecku, i chwała Bogu, z ust jego wychodzą dźwięki mowy teutońskiej, która, o dziwo, nigdy mi się przedtem tak śliczną nie wydała. Pokazuję mu pozwolenie strzelania do gołębi, na co mi odpowiada zapytaniem, czy nie pragnę poprzednio odwiedzić grobu tureckiego świętego w meczecie. „Niech spoczywa w spokoju“, odrzekam, nie mając zamiaru przekonania się naocznie, czy przysłowie nasze: „goły jak święty turecki“ — prawdziwe. Na to poczciwy derwisz przynosi krzesło, i kawę czarną stawia na stoliczku. Siadam, popijam gorący napój — wcale smaczny i oczekuję zapowiedzianego polowania. Zjawia się kilku zwołanych chłopców, którzy, wdrapawszy się na górę, poczynają rzucać kamieniami do dziur i dziupli, znajdujących w prostopadłej skale. Setki gołębi, małych, czarno-fioletowych, o metalicznym połysku, bez ogonów, podobnych do krewnych swoich, hodowanych w Monte Carlo, wylatują naraz na wszystkie strony, wzbijając się pionowo w górę.

Strzelam i strzelam, z początku dużo pudeł, spowodowanych siedzeniem, trudnością obracania się, bo noga ciągle boli, a zarazem wskutek lotu, nadzwyczaj szybkiego, pionowego w górę. W krótce jednak przyzwyczajam się do niezwykłego położenia, mierzę lepiej i strącam jednego gołębia po drugim i to, albo unoszącego się w górę, lub wracającego z góry na dół do swej siedziby. Ptaki zabite wpadają w fale szumiącej Bubny, która je szybko unosi; zwracam przeto uwagę derwiszowi, że pragnąłbym przecież mieć zdobycz. Na rozkaz jego, chłopcy zrzucają szaty i zamieniając się w aportujące wyżły, wskakują w nurty rzeki i gołębie składają mi u stóp z uśmiechem i wesołymi okrzykami.

Wziąłem z Mostaru 60 naboi, wkrótce je wystrzeliłem i miałem przed sobą 38 gołębi. Żałowałem, że nie zaopatrzyłem się także w Manlichera, bo ponad głową na jakie 120—150 m. unosiły się olbrzymie sępy w przestworzu, z których można było niejednego strącić na ziemię.

Polowanie ciekawe, w niezwykłych warunkach, w okolicy czarownie pięknej, a zaręczam, że strzały o wiele trudniejsze, jak w Monte Carlo lub Nizzy.

Powróciwszy do Mostaru, odpoczywałem dni kilka. Z nogą coraz lepiej... Postanawiam wybrać się na „blato“ pod Matkovic, o którem mi cuda miejscowi myśliwi opowiadają. Nie odstąpię od tematu, napomykając kilkoma słowami o dziwnej formacji „karstu“, powstawania i znikania w pewnych porach roku jezior ogromnych, t. z. tam „blat“. Pod ziemią znajdują się olbrzymie, jakby w skale wykute, a wypłukane przez wody cysterny, które w miesiącu październiku zapełniają się wodą i zalewają całą okolicę na wielkiej przestrzeni, tworząc jeziora na kilkunastu kilometrach kwadratowych. Przez całą jesień i zimę, gdy już w całej północnej Europie wody zamarznięte, przylatują tu z wszystkich stron najróżniejsze ptaki, jak gęsi, kaczki, czaple, kurki wodne, łyski, a nawet z Afryki flamingi i pelikany. Raj wtenczas dla myśliwego; najlepsze polowanie z końcem grudnia, lub

w styczniu. Z końcem marca lub w kwietniu znikają powoli te wody, a wtenczas na urodzajnej i zamulonej dolinie sieją Herzogowińczycy kukurydzę, pszenicę i proso herzogowińskie. Z końcem września wszystkie płody posprzątane z wyjątkiem prosa, które później dochodzi i już na łódkach w październiku, same kiście z nasieniem obcinają. Proso wyrosło wysokie, po zżęciu zatem wierzchołków, wystaje nad wodą cały gąszcz źdźbeł, w którym ptactwo ma doskonałe schronienie.

Byłem w Herzogowinie z końcem października i początkiem listopada zatem w porze do polowania na „blatach“ niewłaściwej i oprócz kaczek i łysek, które tu zwą: „bażantami błotnymi“ innego ptactwa nie było. Przesuwając się łódką po kanałach nad Narentą i po owem prosie, sterczącem z wody, miałem sposobność do strzałów do kaczek, a szczególnie do błotnych bażantów. Ubiłem ich dużo. Śmiałem się w duszy, że aż do Herzogowiny pojechałem, aby strzelać łyski, na które w domu ani nie spojrzę.

W styczniu jednak dobry strzelec może ubić, jak mnie zapewniano, przeszło sto kaczek i gęsi, a nieraz osiągnąć niejedną, rzadką zdobycz w postaci czapli szlachetnej, czarnego bociana, flaminga, pelikana, orła lub sępa.

## Karabinki Schönauer'a.

Fabryka broni w Steyr nie wystąpiła na wystawie łowieckiej w Wiedniu z zbyt wieloma nowościami z dziedziny broni myśliwskiej. Okazami najlepszymi były karabinki Schönauer'a, pokazane w sześciu rozmaitych modelach.

Ich kształt zewnętrzny, a co ważniejsze, mechanizm, pracujący pod każdym względem wzorowo, zapewnia im w broni kulowej pierwsze miejsce i to tak dalece, że wszystkie inne systemy nie mogą z nimi nawet współzawodniczyć. Mimo to, broń ta nie jest jeszcze całkiem bez zarzutu, co właśnie omówić zamierzamy.

Należy się jej mianowicie tego rodzaju amunicja, któraby dorównując jej samej dobrocią, zdobyła jej rozgłos światowy, — na co zasługuje w zupełności.

Tak jak jest obecnie, Schönauer nie dorównuje w danych balistycznych innym, gorszym systemom. Kal. 6·5 mm, z żywą siłą 189 kgm. nie wystarcza na silniejszą zwierzynę, np. na jelenie. Najnowszy model, 9 mm., miał zaradzić złemu i dać myśliwym broń pewną i nawet w polowaniach na najgrubszą zwierzynę, niezawodną. Oczekiwania i nadzieje, jakie do zapowiedzi fabryki, iż model tego pomiaru przygotowuje, były pokładane, niestety jednak zawiodły niemal zupełnie.

Chyżość początkowa pocisku 9 mm. wynosi 525 ms, żywa siła 228 kgm. Są to daty bardzo marne w porównaniu z 9 mm. Mauserem (chyżość 725 ms, żywa siła 359 kgm). a nawet w porównaniu z wojskowym Manlicherem 8 mm. (580 ms. i 284 kgm.) Toteż obecnie poszukiwane i cenione są jedynie 2 modele, 6·5 i 8 mm, zaś 9 mm. niema zupełnie zwolenników. Systemowi i mechanizmowi broni nie można absolutnie nic zarzucić, — są bowiem idealne, jednakże proch austryjacki i jego ilość do ciężaru kuli źle ustosunkowana, powoduję iż broń staje się nieużyteczna. Pocisk małokalibrowy, o małej chyżości początkowej, nie wystarcza nigdy do celów myśliwskich.

W Anglji ma Mannlicher-Schönauer pełne uznanie; model 9 mm. także, ale nabojów austryjackich nie bierze żaden Anglik do ręki. Na podstawie układu z styryjską fabryką, Anglja otrzymuje karabinki urządzone do specjalnych nabojów 375 Cordite, a broni tej nie wolno fabryce posyłać do innych krajów. Niemcy, nie obdarzone łaską monopolu prochu, mogą sobie łatwo jedno i drugie sprowadzać, jednakże myśliwy z Austrji skazany jest w najlepszym razie na tak wysokie cło, że skórka nie warta wyprawki.

Do polowań w naszych warunkach, wobec żywotności jeleni i możliwości spotkania się z misiem, Schönauer 9 mm. jest bronią bez kwestji najodpowiedniejszą, naturalnie z odpowiednimi nabojami.

Jest rzeczą pewną, że sam konstruktor Schönauera zna niedomagania swego tworu i niewątpliwie wydobędzie z tej broni takie dane balistyczne, jakie ona dać może. Udałoby się to najprawdopodobniej przy użyciu znakomitego prochu Rottweilera 1293 albo 1550, ewentualnie Troisdorfer Nr. 6; Cordite jest również bardzo dobry, jednakże ma tę wadę, że rozgrzewa bardzo lufy. Jeśli zaś nie będzie można wymienionych gatunków sprowadzać, wskutek zbyt wysokiego cła,— to podwyższenie naboju prochu autryjackiego na 3·5 gr. przy wzmocnionej spłonce da te same wyniki. Byłoby bardzo pożądane, aby te wzmocnione naboje jak najszybciej puszczono w obieg handlowy, zamiast czekać na dawno obiecywany i zapowiadany proch Nr. III. albo, jak najnowsze chodzą słuchy na proch nitroglicerynowy, ziarnisty, wzorowany na amerykańskim.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

## Niedoceniany zmysł.

(Na podstawie pracy Dr. Th. Zell'a).

Człowiek, którego wielki Pascal próbował określić jako chimerę, złożoną z najrozmaitszych sprzeczności, posiada, obok wielu niezmiernie ciekawych własności i tę bardzo dziwną, że za pożyteczne, dobre, piękne, szlachetne, wogóle dodatnie, uważa wyłącznie to, co mu daje korzyść i przyjemność, zaś wszystko inne pisze w licznikach ułamków, których wspólnym mianownikiem jest t. zw. „złe“... Nie poporuszając pytania dlaczego tak się dzieje, nie można nie zauważyć, że w ocenianiu pewnych zjawisk popełniamy błędy powstające stąd, że za jedyny sprawdzian uważamy właśnie nasze „dobre“ i „złe“.

Postępując tą drogą zszeregował człowiek cechy i właściwości zwierząt wedle własnej miary. Co w nich było do niego najpodobniejsze, to nazwał najlepszem i najwyższem, co od niego odbiegało, choćby nawet *in plus* — stało się „niższem“. Klasyfikując zmysły, węch i dotyk umieścił na końcu, jako niższe, a prof. Hack, omawiając zmysł węchu w osobnej pracy, mianuje go najniższym. Dlaczego? Dlatego, bo w życiu c z ł o w i e k a zmysł ten odgrywa poślednią rolę, w swojem działaniu miesza się często ze zmysłem smaku, czego nie spostrzegamy np. w działaniu wzroku i słuchu. Gdyby jednak nietoperz mógł coś „powiedzieć“

o dotyku, a pies o węchu, dowiedzielibyśmy się z pewnością prawd wręcz odmiennych; zwierzęta te postawiłyby swoje najlepiej rozwinięte zmysły na pierwszem miejscu, jako nigdy nie zawodzące i najpotrzebniejsze.

Trudno też uwierzyć, aby uczony przyrodnik, który jest równocześnie myśliwym, podzielał pogląd o niższości zmysłu węchu, nie można bowiem wyobrazić sobie myśliwego bez psa, pies zaś, właśnie dzięki owemu niższemu zmysłowi, świadczy na polowaniu daleko więcej usług w tym kierunku, niż najrozsądniejszy człowiek. Tylko pies wskaże nam to miejsce w ogromnym łanie kartofli, lub ściernisku, w którem znaleźć możemy kuropatwy; genjalne kalkulacje, dedukcje, obserwacje i t. p. nic nam nie mogą pomódz w szukaniu kaczek, ukrytych w gęstych szuwarach. Wypadki takie, okazujące naszą całkowitą bezradność dałyby się mnożyć w nieskończoność, — a nie są bynajmniej najtrudniejsze. Rozważmy inny przykład. Jeleń lub rogacz, nawet dobrze trafiony, znajdzie w przedśmiertnej trwodze i ostatnim wysiłku niemal zawsze dość władz fizycznych, by ujść nam z oczu. Gdybyśmy rozpoczęli natychmiast pościg, to zwierz uszedłby nam najczęściej w sąsiedni rewir, lub też jeśli mało zostawił farby, — pościg całkiemby uniemożliwił. Zostawiamy mu dlatego zawsze dość czasu, aby z jej utratą osłabł i dał się dojść. Czy jednak istnieje człowiek, który po upływie tegoż czasu, wynoszącego co najmniej pół godziny, mógłby skutecznie podjąć tropienie? Co więcej — do rogaczy i jeleni, strzelamy zwyczajnie o zmierzchu, który po upływie czasu, pozostawionego zwierzynie na skon, przechodzi w ciemność zupełną, a w niej, człowiek ze swojemi „najwyższymi" zmysłami, wzrokiem i słuchem, ledwie sam może się zorjentować, nie marząc o tropieniu, które rozpoczyna się zwyczajnie nazajutrz i tylko dzięki psiemu nosowi kończy się pomyślnie.

Nie zacieśniając się w bądź co bądź szczupłem kole myśliwstwa, wspomnijmy jak cennym jest niejednokrotnie pies w służbie turystyki lub policji. Iluż alpinistów uszło zmarznięcia i śmierci dzięki poczciwym psiakom z góry św. Bernarda, ilu żołnierzy na polu bitwy odszukano przy pomocy psów, ile razy węch psa rozwiązywał zagadki, wobec których zatrzymywały się najbystrzejsze umysły agentów policyjnych!

Wobec tych powszechnie znanych faktów dziwnem musi się wydać odsądzenie zmysłu powonienia od wszelkiej wartości — jak to uczynił wspomniany prof. Hack, — natomiast warto się zastanowić na czem ów zmysł polega i co daje niektórym zwierzętom taką znakomitą wyższość w tym kierunku nad człowiekiem.

Odpowiedź na te pytania nie jest bynajmniej łatwa. Węch nazwano wprawdzie „najniższym" lub w najlepszym wypadku zesunięto go na szary koniec w fizjologji, ale powiedzieć o nim wiele niestety nie umiano, a jego istoty nie wyjaśniono dotychczas.

Do niedawna obowiązywał w nauce pogląd, potwierdzony autorytem głośnego fizjologa Hermanna, że na zmysł powonienia działają niezmiernie małe cząsteczki, ulatniające się z ciał aromatycznych. Wiadomości o tych cząsteczkach są jednak tak szczupłe, że tensam Hermann, kończy swe wywody zdaniem, wypowiedzianem przed pół wiekiem przez uczonego francuskiego Cloquet'a: „Z pomiędzy wszystkich bodźców działających na nasze zmysły, najmniej są znane bodźce pobudzające zmysł powonienia"...

Od czasu publikacji zdania Cloquet'a sprawa cała posunęła się o tyle naprzód, że Hermann, powołując się na nie, — cokolwiek ją przeczernił, mimo to jest faktem, że teorja ciał aromatycznych i zmysł powonienia, w porównaniu z innymi działami fizjologji są opracowane bardzo mało.

Obecnie istniejące teorje, objaśniające istotę węchu są dwojakie: dynamiczne i materjalne. Czas jakiś utrzymywała się także teorja, która wszystkie działania zmysłów tłumaczyć próbowała przerywaniem prądu elektrycznego, krążącego po wszystkich nerwach, trwała jednakże dość krótko i wybitnego miejsca w fizjologji nie wywalczyła sobie nigdy. Teorja dynamiczna sprowadza zjawiska węchowe do tej samej dziedziny co wzrokowe i słuchowe. Widzimy i słyszymy dzięki drganiom i falom eteru lub powietrza, — podobnie też węszymy, dzięki temu, że ciała aromatyczne tworzą pewne fale, pobudzające zmysł węchu. Zdanie to popiera Walther, powołując się na to, że podobnie jak dźwięk lub światło nie jest odrywaniem się cząsteczek głosowych lub świetlnych, tak też zapach nie pochodzi wskutek ulatniania się cząsteczek aromatycznych, czego dowodem jest zachowanie się np. piżma, wypełniającego zapachem całymi tygodniami pokój, a nie wykazującego na najczulszych wagach najmniejszego ubytku na ciężarze. Teorja materjalistyczna utrzymuje przeciwnie, że ciała woniejące wydzielają nieustanie nieważkie cząsteczki, działające bezpośrednio na nerw węchowy.

Dopiero najnowsze badania uczonych, rzuciły na tę gmatwaninę pęk światła. Pionierem w tych badaniach jest holenderski lekarz Dr. Zwaardemaker, który swoje spostrzeżenia ogłosił w dużej książce i dał podstawę do nowych studjów tej mało opracowanej, a ciekawej kwestji.

Uczony ten zbija przedewszystkiem zdanie, jakoby zmysł węchu i nos uległ u człowieka kulturalnego degeneracji i zwyrodnieniu. Narząd węchu posiada bowiem tak znakomitą ochronę naturalną, że wpływy kultury, nie mogły do niego dosięgnąć. Jeśli zaś spostrzegamy u człowieka dość często zanik lub osłabienie węchu, to wynika to z pewnych chorób tkanki lub samego nerwu węchowego i da się, przy umiejętnych zabiegach lekarskich, usunąć. Mimo to Dr. Zwaardemaker twierdzi, że człowiek nigdy nie osiągnie tej doskonałości w węszeniu, jaką posiada np. pies, a twierdzenie to uzasadnia nadmiernym rozwojem zmysłu wzroku, kosztem zmysłu powonienia, co zauważyć można równie dobrze u człowieka jak i u wyższych gatunków małp.

Dr. Zell notuje to zdanie wielce skwapliwie, potwierdza ono bowiem jego własny pogląd, wypowiedziany w tymsamym przedmiocie w książce pod tytułem: „Czy zwierzę jest bezrozumne?" Autor zwraca w niej uwagę, że im pies lepiej wietrzy, tem gorzej widzi i odwrotnie; na przykład podaje charta, który widzi znakomicie, a węch ma tak słaby, że nie rządzi się nim wcale, bo straciwszy przedmiot pogoni z oczu, przestaje go też ścigać, nie próbując wietrzyć. W tych wywodach zaznacza też wyraźnie związek, istniejący pomiędzy wzrokiem i węchem, podkreślony obecnie bardzo silnie w pracy Dra Zwaardemaker'a.

Uczony ten, pisze się poza tem na teorję materjalistyczną, przykładu bowiem z piżmem, jako ciałem hygroskopijnem, a zatem nie nadającem się do pomiarów wagowych, nie uważa za dość przekonywujący, a w teorji tej idzie dość daleko, bo oblicza nawet chyżość rozmaitych zapachów, która jest różną. Wskutek tego woń niektórych kwiatów, chwyta-

my prędzej, a niektórych później, mimo, iż są w tej samej odległości.

Zwaardemaker tłumaczy także dlaczego przy właściwem węszeniu, tj. przy krótkich, a szybko po sobie następujących wdychiwaniach małych ilości powietrza, węszymy szybciej, niż wtedy gdy spokojnie oddychamy. Oto w wypadku drugim wiele bardzo czasu zużywa się na dyfuzję cząstek aromatycznych przez błonę śluzową nosa. Chyżość prądu wdychiwanego wówczas powietrza jest mała, zanim więc cząsteczki woniejące przedyfundują błonę śluzową i dostaną się do nerwu węchowego, upływa z konieczności więcej czasu niż w razie, gdy powietrze szybko wciągamy; chwytając go nad to z różnych miejsc, chwytamy też więcej cząstek aromatycznych.

Powszechnie znany wpływ wilgoci na zmysł powonienia, na tem ma wedle Zwaardemakera polegać, że w powietrzu całkiem suchem wysychają rurki węchowe i tracą czasowo swe zdolności. Że wilgotność powietrza wpływa ogromnie na działanie wiatru u psa, wiedzą o tem doskonale myśliwi polujący np. na kuropatwy w suchy dzień letni. Stąd też całkiem jest chybione puszczanie psów policyjnych na trop w południe. Mimo to bowiem, że nos tych zwierząt jest prawdziwem arcydziełem doskonałości, z wszelką pewnością święciłby większe tryumfy wieczorem, gdy spadnie rosa i zwilży tropy złoczyńcy.

Teorja materjalistyczna utrzymuje także, że chyżość cząsteczek aromatycznych zależy od temperatury i to w stosunku wprost proporcjonalnym; im temperatura wyższa tem chyżość większa, im niższa, tem mniejsza. Pogląd ten ostaje się również wobec praktyki myśliwskiej, wiadomo bowiem, iż wszelki zwierz wietrzy na mrozie gorzej, a nos nawet nieomylnego psa, w warunkach takich czasem zawodzi.

Aby ułatwić zrozumienie różnicy powonienia człowieka i węchu psa, ucieknijmy się do przykładu z optyki lub akustyki. W pierwszej znana jest choroba zwana *daltonizm*, albo *miopja barwna*, polegająca na tem, że osobnik nią tknięty widząc bardzo dobrze, nie rozróżnia barw albo wcale, albo w skali bardzo szczupłej. Przypuśćmy, że czyjeś oko jest całkiem niewrażliwe na kolor czerwony. Dla człowieka takiego czerwona linja, znacząca na jakimś planie kierunek jego drogi, jest pomiędzy czarnemi nierozeznawalna i stanowi mur nie do przebicia. Taksamo ktoś może posiadać bardzo bystry słuch, ale nie mieć wcale słuchu muzykalnego; w niezliczonych tonach i akordach najpiękniejszego utworu nie rozróżnia nic więcej ponad dźwięki, podczas gdy ucho muzyka wyłowi „fałsze“ — o ile są — na dziesiąte tonów. Jeśli więc węch psa jest równie czuły na najsłabsze nawet zapachy, jak oko malarza na barwy i ucho muzyka na tony, nic dziwnego, że pomiędzy setką innych tropów umie pochwycić właściwy i dobrze zaprowadzi. Człowiek, w większej części wypadków, które nos psa rozeznaje z największą łatwością, jest tknięty czemś, co dla wzroku jest ślepotą barwną.

Na zakończenie warto zaznaczyć, że węch zwierząt daje im możność rozeznania z tropów nietylko ich samych, ale i ich własności. Bardzo często jest to dla zwierząt pytaniem Hamletowskiem. Gdyby bowiem tej właściwości nie posiadały, zaspokojenie popędu płciowego byłoby ogromnie utrudnione; w dziewięciu wypadkach na dziesięć samiec tropiłby samca, narażając się na niepotrzebne wysiłki, a swą skórę wystawiając na szwank, wobec kłów, rogów i pazurów swoich rywalów.

Zwierzęta mięsożerne, jak hyjena, niedźwiedź, lis i tp. posiadają także zdolność zwietrzenia, czy zwierz który trop naznaczył był zdrów czy chory. Wiemy bowiem, że lis n. p. nie idzie nigdy w trop zdrowego jelenia lub sarny, pamiętając doskonale o tem, że nietylko winogrona mogą być kwaśne. Niech tylko jednak zwierz zostanie niebezpiecznie zraniony, choćby nawet nie broczył, niech go opanuje choroba, — mykita pójdzie za nim jak cień, wiedząc, że trud opłaci się sowicie.

Jeśli więc zmysły zszeregowaliśmy w ten sposób, że dla węchu zostało poślednie miejsce, — to może to być prawdziwe jedynie dla ludzi, ale nigdy dla zwierząt. Pomięszanie wrażeń powonienia i smaku — niema u zwierząt prawdopodobnie miejsca. „Wyższe“ zmysły człowieka są bowiem u niektórych zastąpione naszymi „niższymi“, jak n. p. dotyk u ryb zastępuje im nasz słuch. Wyraźniej występuje to u nietoperza, który najszlachetniejszy nasz zmysł, wzrok, zastępuje bajecznie czułym zmysłem dotyku. Brehm podaje, iż robiono kilkakroć próby z oślepianiem nietoperzy, przyczem oczy zalepiano im kawałeczkiem angielskiego plastra. Lot ich nie uległ najmniejszej zmianie i mimo oślepienia, wymijały po mistrzowsku wszelkie przeszkody, jak n. p. szereg nici przeciągniętych przez pokój w różnych kierunkach.

Wywody powyższe stwierdzają, że „najwyższe“ zmysły człowieka, nie są najwyższymi u zwierząt. Ponieważ u człowieka nie mięszają się nigdy wrażenia zmysłów szlachetnych, — taksamo nie mięszają się nigdy u zwierząt, o ile są dostarczane przez zmysły dla nich najszlachetniejsze, za jakie u wielu z nich uchodzi z pewnością przez ludzi niedoceniany zmysł węchu.



## Nowe książki.

**Teodor Roosevelt** ogłosił drukiem opis swoich przygód i wrażeń, zebranych w czasie ostatniej wyprawy myśliwskiej do Afryki. Książka obejmująca sporo tekstu i wielką ilość rycin pojawiła się już w języku niemieckim i jest do nabycia w księgarniach. Opisuje w niej prezydent Ameryki „Wędrówki badacza przyrody i myśliwego po Afryce“ i odsłania swą bogatą indywidualność człowieka, znanego dotychczas przeważnie jako męża stanu i wybitnego polityka.

Kto pragnie poznać w nim całego człowieka, nie przysłoniętego ogromem życia na wielkim świecie dziejowych zdarzeń, ten nie znajdzie lepszego źródła ponad jego notatki myśliwskie. Zwłaszcza ostatnie jego dzieło dostarcza niezmiernie zajmującego materjału i budzi nawet w najobojętniejszym czytelniku niesłabnące zainteresowanie. Jakież refleksje i myśli budzić musiał w umyśle kierownika jednego z najpotężniejszych państw, kraj mało jeszcze zbadany i cywilizowany, który przynieść może w przyszłości niejedną niespodziankę polityczną? „Nie znam słów“

— pisze Roosevelt w przedmowie swojego dzieła — „któreby oddawały przedziwny czar i określały ducha życia zwierząt, czyniącego nieodparte wrażenie swą tajemniczością, osamotnieniem i grozą. Jest coś ogromnie pociągającego w obcowaniu twarzą w twarz, z naturą wolną, nie spętaną kulturą i człowiekiem, z palcem na cynglu, z ciągłą możliwością rozprawy z groźnym zwierzem“.

„W inną dziedzinę wrażeń, chociaż bezpośrednio z pierwszą związaną, wkraczamy, gdy mowa o naturze. Cudowna cisza nocy równikowych, oświetlonych dużą tarczą księżyca, aksamit nieba nabity skrzącemi gwiazdami, wschody i zachody słońca, dają wrażenia, jakich darmo szukać gdzieindziej“.

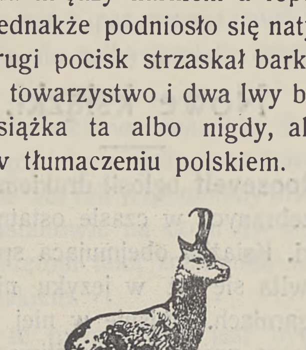
Te słowa świadczą wymownie, iż Roosovelt potrafi nietylko obliczać na chłodno w polityce, ale i czuć żywo sercem prawdziwego artysty.

Same opisy polowań tchną wielką szczerością i prostotą. Oto jak opisuje swe pierwsze spotkanie z lwami:

„Nad brzegiem rzeki z naszej strony były gęste zarośla. Wjechaliśmy w nie konno (Roosevelt odbył wyprawę z synem i państwem Pease) i poczęliśmy głośno krzyczeć. Odpowiedział nam silny ryk i trzask łamanych gałęzi. Szybko zeskoczyliśmy z koni, ja zarzuciłem mojej szkapie cugle na głowę i zostawiłem ją swemu losowi. O dziesięć metrów przed nami były lwy. Rzucą się czy uciekną? Na szczęście wybrały tę drugą możliwość. Wprost przed sobą, na 30 m wyskoczył z zarośli lew z rzadką grzywą. Walę! Pocisk Dum-Dum mojego Winchestra trafia go w bok, zwierz znaczy silnie; druga kula chybia, trzecia uderza w grzbiet i grzęźnie w piersi. Lew pada, ciągnąc ciężko tylne łapy, wznosząc głowę i szczerząc groźnie potężne kły. Kermit, Alfred i ja dajemy równocześnie *coups de grace* (cios łaski).

Pościg drugiego lwa dostarczył wrażeń trochę mocniejszych. Ja, jako człowiek starszy, przeszłą praktyką myśliwską sterany i nawiedzony ongiś reumatyzmem, nie siedziałem tak pewnie w siodle jak mój syn. Gdy lew rzucił się na mnie nie mogłem też skoczyć dość szybko na koń i uciec. Wolałem powierzyć moje życie kuli. Ryk lwa huczał jak grzmot po równinie, oparłem więc łokieć o ramię syna i ruszyłem cyngla. Kula ugrzęzła między karkiem a łopatkami i powaliła zwierzę, które jednakże podniosło się natychmiast i szarżowało na mnie. Drugi pocisk strzaskał barki, trzeci uśmiercił ostatecznie. Całe towarzystwo i dwa lwy było koło mnie“.

Szkoda, że książka ta albo nigdy, albo bardzo nieprędko pojawi się w tłumaczeniu polskiem.




# Sprawy Towarzystwa.

**Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, z dnia 16. września b. r.**

Obecni: Prezes, Eksc. Stanisław hr. Stadnicki, wiceprezes Seweryn Krogulski; członkowie, pp.: Edward Münter, Dr. Paweł Mazurek, Dr. Alfred Sander, Stanisław Pieńczykowski i Albert Mniszek.

Nieobecność swą usprawiedliwili pp.: Juljusz hr. Bielski, Dr. Tadeusz Gorecki, Dr. Władysław Sołowij, Dr. Józef Ekielski, Cyryl Kochanowski i Dr. Stanisław Miziewicz.

Odczytany protokół z ostatniego posiedzenia Wydziału i z tegorocznego Walnego Zgromadzenia, przyjęto do wiadomości i zatwierdzono.

Następnie wicepreses Towarzystwa. p. Krogulski, zdał sprawę z czynności Wydziału za czas od 15. maja do 15. września b. r.

W tym okresie czasu załatwiono ogółem spraw **1580**, a mianowicie referatów 350, przynagleń i przypomnień o wkładki 620, kasowych spraw 610.

Nowych członków przystąpiło do Towarzystwa 32, delegatów mianowano 8.

Zezwolenia na odstrzał udzielono zarządom dóbr:

| | | |
|---|---|---|
| w Stawczanach i Bartatowie | na siut | 15 |
| „ Kołędzianach . . | „ „ | 15 |
| „ Nisku . . . | „ „ | 100 |
| „ Rudniku . . . | „ „ | 100 i 35 jeleni bez różn. płci |
| „ Bojanowie . . . | na | 50 jeleni i 100 łań |
| „ Szaflarach . . . | na | **5 kozic.** |

Odmownie załatwiono sprawę odstrzału 15 łań zarządowi c. k. Dóbr państwowych w Taniawie, ze względu, iż regulowanie zwierzostanu w tych rewirach, należy w myśl kontraktu do Towarzystwa myśl. w Lisowicach i ono w razie potrzeby stara się o zezwolenie na odstrzał i dokonywa go bezpośrednio.

Z ubolewaniem zaznacza sprawozdawca, że memorjały, wniesione do Namiestnictwa w sprawie plombowania ubitej zwierzyny, jakoteż w sprawie zmiany niektórych postanowień wykonawczych do ust. łowieckiej, nie doczekały się dotychczas załatwienia ze strony pomienionej władzy.

Z przekazanych przez ostatni Zjazd łowiecki dwu wniosków Wydziałowi do załatwienia, wykonano oba. Mianowicie projekt Dra Sandera, dotyczący zmiany statutu, wydrukowano w 12 num. „Łowca“, w uroczystości zaś grunwaldzkiej odsłonięcia pomnika Jagiełły w Krakowie, delegowało prezydjum Towarzystwa swego wiceprezesa, p. Krogulskiego, który złożył wieniec u stóp wielkiego króla w hołdzie od myśliwych.

Poza tem tensam delegat — z powodu iż prezes Tow. nie mógł w tym czasie do Wiednia wyjechać — reprezentował gal. Tow. łowieckie i czynny brał udział w obradach Sejmu „Państwowego Związku myśliwych w Wiedniu“, którego nasze Towarzystwo jest członkiem, oraz w obradach międzynarodowego kongresu myśliwskiego.

W obradach tego kongresu, brali również żywy udział były prezes gal. Towarzystwa łowieckiego i jego honorowy członek Roman hr. Potocki, dalej delegaci tegoż Towarzystwa Adolf bar. Brunicki, Jan bar. Goetz-Okocimski i p. Wilhelm Stanek, wreszcie członkowie Tow. pp. Karol Drahonowský, Roman Winiarz i Ryszard Sartori. Usprawiedliwił swoją nieobecność na kongresie ks. Andrzej Lubomirski, zajęty wystawą w Żółkwi i JE. Witold Korytowski, który bawi na kuracji w Levico. Usprawiedliwienie to podano do wiadomości przewodniczącego kongresu ks. Kinsky'ego. Galicyjski Zarząd dóbr państwowych zastępowało 4 delegatów i tyluż delegatów dobra żywieckie.

Że kongres miał na oku cele poważne, że na serjo cała Europa dąży do postawienia myśliwstwa jako jednej z potężnych gałęzi przemysłu i czynnika ekonomicznego na właściwej wyżynie, poza urokiem sportu jedynej dziś romantyki, dowodem tego, że w kongresie tym wzięli udział reprezentanci 12 państw, między tymi 7 ministrów zagranicznych, oraz zastępcy: 5 władz państwowych, 4 miast, 11 władz krajowych (z wyjątkiem Galicji), 3 wyższych zakładów naukowych i 3 akademji lasowych, 7 izb handlowo-przemysłowych, 52 związków myśliwskich, 13 urzędów leśniczowsko-myśliwskich, między ostatnimi przedstawiciele urzędów myśliwskich dworu austryjackiego. Ogółem reprezentował kongres 160.000 myśliwych, z państw: Anglji, Rosji, Węgier, Danji, Szwecji, Bułgarji, Grecji, Serbji, Portugalji, Persji, Chin, Meksyku, Paraguay, Venezueli i Boliwji.

W końcu sprawozdawca zapowiada druk szczegółowego omówienia prac, referatów i powziętych rezolucji przez kongres w „Łowcu“.

Poczem przystąpiono do obrad nad zmianą statutu Towarzystwa, według projektu Dra Sandera.

Nad sprawą tą rozwinęła się długa i ożywiona dyskusja, w której wszyscy obecni głos zabierali. W rezultacie na wniosek Dra Sandera przyjęta została uchwała, by wobec różnicy zdań, jaka wśród członków naszego Towarzystwa, co do praktycznej wartości i wykonalności wprowadzenia w czyn owego projektu panuje, zawezwać za pośrednictwem „Łowca“ ogół myśliwych naszego kraju do wypowiedzenia swych zapatrywań.

Uchwalono też powołać napowrót do życia komisję, celem ponownego i szczegółowego przedyskutowania przepisów projektowanego statutu i poczynienia w nim zmian, jakieby, licząc się z uwagami i zapatrywaniem większości głosów za odpowiednie uznano, potem projekt ten przedłoży komisja Wydziałowi w najbliższem posiedzeniu, celem sformułowania ostatecznych wniosków dla nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Na tem porządek dzienny został wyczerpany i przewodniczący zamknął posiedzenie.

## Korespondencje.

Bóbrka, 20. września 1910.

Dnia 15. bm. wracałem wieczór z polowania na kuropatwy, gdy niespodzianie przeleciała nademną słonka, ciągnąca szybko i cicho, jak zwykle w jesieni. „Zdawało ci się“ pomyślałem, bo zawcześnie na słonki.

Na poniedziałek, 19. bm. zaproszono mnie na kuropatwy do Romanowa, gdzie zobaczyłem dwie zabite słonki. — Oczywiście rozpytuję o proweniencję i dowiaduję się, że w sobotę 17. bm. dozorca lasowy w Podhorodyszczem ruszył 8 słonek, a zabił dwie. Fakt ten dał impuls do zmiany programu, więc do obiadu polowaliśmy na kuropatwy, których stan jest więcej jak zadawalający, — a o 3-ej byliśmy w lesie t. zw. „na Łysej“, gdzie nagonka z kilku chłopców zabrała się do przepędzenia kilku miotów. — Ruszono coś około 10-ciu słonek, — strzelono dwie. Zachęceni rezultatem zostaliśmy na ciągu. Padło 11 strzałów do 7-miu słonek, zabito jedną.

Nie ulega więc kwestji, że słonki zaczęły ciągnąć i to bardzo wcześnie. Zarządca lasów p. Szerengowski ruszył pierwszą słonkę 12. bm.

Jaskółki jeszcze nie odleciały, z czego wnioskowaćby można, że będzie ciepło, — a słonki już ciągną, z czego należałoby przeciwnie wnioskować. — Zgadnij kto mądry.

*K. Ż.*, delegat.

## KONKURS

### na nagrody im. Józefa Potockiego dla straży łowieckiej.

Wydział Gal. Towarzystwa łowieckiego rozpisuje niniejszem konkurs na nagrody dla straży łowieckiej, odznaczającej się gorliwością w ochronie zwierzyny i tępieniu kłusownictwa. Będzie rozdzielonych **sześć nagród**, a mianowicie: dwie po **30 koron**, dwie po **20 koron** i dwie po **10 koron**.

O nagrody te mogą ubiegać się ci z personalu łowieckiego, którzy pozostają w służbie u jednego z członków Towarzystwa łowieckiego.

Przy przyznaniu nagród będzie się brało w rachubę długoletnią, nienaganną służbę łowiecką, pierwszeństwo zaś do otrzymania nagrody będą mieli ci że służby łowieckiej, którzy udowodnią jakąś wybitną czynność w kierunku ochrony zwierzyny, lub tępienia kłusownictwa, w ostatnich 5 latach dokonaną.

Podania należy wnosić do Wydziału Towarzystwa łowieckiego do dnia 15. listopada 1910. Nagrody rozdzieli Wydział Towarzystwa, na podstawie opinji pp. delegatów.

We Lwowie 1. października 1910

## Drobne ogłoszenia i inseraty.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny **Albert Mniszek.**